PLACÓWKA

ILUSTRACJA POLSKA —



ZESZYT XVIII. Cena zeszytu Mk. 20.— PAŹDZIERNIK 1920 R.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 PAŹDZIERNIKA 1920 ROKU. ZESZYT XVII

PLACÓWKA

Ilustracja Polska

DWUTYGODNIK

Ignacy Grabowski.

MARSZAŁEK PONIATOWSKI.

Jeżeli Partenon, to—ateński, jeżeli marszałek to. marszałek Francji. Mogą być pod różnem niebem tysiące, Suworow, Hindenburg... ale czuje się, że to „ersatze". Wszyscy inni marszałkowie mają się do mianowanych przez Francję, jak dekoracje teatralne do ścian z kwitnącej natury.

Dlaczego tylko Francja?...

Jedyna spadkobierczyni starego Rzymu, poszła znacznie dalej od znakomitego rodzica. Do prawa rzymskiego, do reguł życia państwowego, do obowiązkowości obywatela, jako jednostki wolnej, dołączyła element piękna. Zaprowadziła dwuwładzto Aresa i Apollina. Podczas gdy Rzym, zajęty wyłącznie budową państwowości, wchłonął żywcem kulturę helleńską i szczątki kultur staro-azjatyckich i egipskiej, gdy to co nie było jego pracą twórczą, musiało go rozłożyć i unicestwić, Francja osiągnęła pełnię życia. A pełnia — to mądrość.

Więc nawet w chmurne i piorunne dni rzezi militarnych, gdy żołnierz idealny, rycerz zamienia się w żołdaka i rabusia, nazwiska Ney, Murat, Dawoust, Lannes, Soult, Suchet, Moncey, Mortier, Berthier, Lefévre, Mudonald, Poniatowski... niosą i nieść będą legendę o lepszych porywach ducha ludzkiego. To arystokracja żołnierska w platońskiem tego wyrazu znaczeniu.

— — — — — — — — — — — — — —

Zapewne nieskazitelna, prawa, stoicka postać wodza legjonów, Henryka Dąbrowskiego zasłużyła również na buławę marszałkowską. Ale Polska może mieć o to urazę nie do Francji, a do Napoleona. Śród powikłań skomplikowanych olbrzymiej epopei militarno-politycznej były pomyłki i niedopatrzenia. Fakt jest, że tylko Poniatowski formalnie wszedł do plejady marszałków. Nie będziemy się o to procesowali.

Jeżeli istotą tragedji jest walka kontrastów, gwałtowne nagłe przejście natury od uśmiechów słonecznych do gwałtownej niszczącej nawałnicy, roztarganie duszy walką wrogich wzajemnie motywów, marszałek Poniatowski takiej tragedji był doskonałym podmiotem.

Ojciec, matka, otoczenie, szkoła, pierwsze praktyki wojskowe, wszystko przeznaczyło go na „austrjaka". Austrjak ówczesny, z epoki Marji Teresy, Kauvitza, Leudona i Dauna, nie był austrjakiem dzisiejszym, szczątkiem czegoś, co już istnieć nie ma sił, homo defunctus. Austrja ówczesna, przeciwniczka Prus, była rzeczywiście potężnym elementem równowagi europejskiej. Względnie do rządzonych przez się narodów przedstawiała jeszcze zasób siły moralno-kulturalnej. Jednakże były to ostatnie dni pięknej jesieni. Tur germański zbliżył się z młotem. Podają, że Marja Teresa płakała, podpisując pierwszy rozdział Polski. Tak, płakała, ale nietylko podpisała, ale pierwsza zajęła Spiż. Tem stwierdziła własną bezsilność. Konanie Austrji trwało lat stopięćdziesiąt, akurat tyle, ile niewola Polska. A w tym długim konaniu zdołała zatruć wszystko, co miało z nią bliższą styczność, jadem rozkładającego się ciała.

— — — — — — — — — — — — — —

Szykownego wiedeńskiego oficera, który zresztą dowiódł już był swej doskonałej krwi żołnierskiej w wojnie z Turkami, stryj, król Stanisław August sprowadził do Warszawy. Nic nie zapowiadało w nim przyszłego marszałka. Że umiał dobrze powozić sześcioma końmi zaprzężonemi w szpicę, że był ulubieńcem dam, o to znowu nie tak trudno. I Reprin i Sievers byli również ulubieńcami dam. Dzięki rodowi swemu dostał naczelne dowództwo armji polskiej, mającej odeprzeć napaść Moskalów, prowadzonych przez Targowicę. Ku temu zadania nie miał wtedy ani dość doświadczenia, ani wiedzy, ani może wiary. Było to dziecko arystokratyczne, lekkomyślne i pustackie, słowem

„pepi". Dopiero, poraz pierwszy, w obozie pod Sieciechowem, gdy dostał rozkaz króla poddać się Targowicy i Moskalom, przeszła mu po sercu nieznana dotąt iskra. Iskra wstydu, poniżenia, wielkiej krzywdy. Ale wtedy uległ. Nie miał w żyłach ani jednej kropli z spiskowca lub powstańca. Ale tu był początek jego tragedji osobistej, i równocześnie początek siły, początek przyszłego marszałka Francji.

— — — — — — — — — — — — — —

Jednakże nie tak to łatwo przejść z bezstroskiej pastuszej Arkadji do wyżyn bohaterskich Olimpu. Nie dzieje się to błyskawicznie. Dusza wypracowuje samą siebie w czasie. Rok 1794, rok beznadziejnej spóźnionej konwulsji narodowej widzi Poniatowskiego pracującego pod wodzą Kościuszki. Czy Poniatowski wierzy? Myślimy, że nie. Jego świat dumny, jego miłostka młodzieńcza skończyła się, a nowej miłości wieku dojrzałego, męskiego jeszcze nie ma, nie widzi jej kształtu. To co widzi nie jest walką, jest szamotaniem się. Improwizacja kos chłopskich przeciwko tysiącom baterji trzech wielkoludów. Teorja? To on woli noce czarodziejskie nad Wisłą, w Jabłonnie, gdy palą się lampki czerwone, ale naród nie krwawi pour roi de Prusse. Lat jedenaście żyje letargiem. Dusza pracuje podziemnie, nieświadomie, w nurcie.

Aż w listopadzie 1806 przed zamkiem królewskim, przed jego pałacykiem pod Blachą, zadzwoniły podkowy konnicy Muratta. Francja, Napoleon. Rozbite kajdany Europy. Naprzód, o wolność, dzieci ojczyzny. Bębny warczą najcudniejszą melodją, jaką kiedykolwiek wyśpiewała harmonja dusz. Treścią dnia powszedniego nie będzie ta muzyka, ale hymnem odświętnym, odradzającym po tygodniowym znoju.

Jestem. Poniatowski poraz pierwszy styka się z nową Francją i rozumie ją w lot. Przeszłość umarła dlań bezpowrotnie. Kocha nowy kształ i oddaje mu się pełnią duszy i całę skalą honoru. Bierze na siebie pracę ministra wojny Księstwa Warszawskiego. Dokształca się wojskowo pod okiem takiego mistrza jakim był marszałek Davoûst. W fatalnych warunkach finansowych organizuje wojsko polskie. Jeżeli błądzi to dobroduszną pobłażliwością wobec mydłkowatych i nadużywających jego dobrej wiary podwładnych. Pod Raszynem i w błyskawicznej kampanji austrjackiej zjawił się już jako dowódca doświadczony i umiejęty. Napoleon, spostrzegłszy po niewczasie obłudę rzekomego sprzymierzeńca Aleksandra, występuje do nieuniknionej wojny z Rosją. Intryga polityczna działa wszelkiemi sposoby, aby odciągnąć Poniatowskiego od przymierza z Francją. Zarzucają go szeregiem doraźnych politycznych kombinacji, konszachtów. On nie wierzy w Wallenrodyzm, w zdrady konspiracyjne.

Smoleńsk, Borodino, Winkowo, Torutino, Wiażma, Berezyna. Jego chłopcy z pogromu moskiewskiego przyprowadzają do Warszawy wszystkie armaty. Reorganizuje i wiedzie nowy korpus pod Drezno i Lipsk.

Francja wyzwoliła Polskę, Francji należy się krew ofiarna. Czyń co ci każe sumienie, a fakty przemówią za ciebie. Bieg dziejów niezbadany, jeżeli co zawodzi napewno, to sofistyka polityczna. Pod Lipskiem Poniatowski jest już marszałkiem Francji.

Na mgnienie, na przelot motyla, jak przelotna była ówczesna niepodległość Polski, kwadratura koła w epoce „Świętego" przymierza. Trzej cesarze szturmują do Lipska. Wypadek i może nie wypadek, może mądrość przeznaczenia, zrządził, że w ów straszliwy, pamiętny dzień październikowy odwrotu Polacy zasłaniali odwrót cywilizacji pod naporem barbarzyńców. Dąbrowski walczy do ostatka z Prusakami Blüchera, Poniatowski broni bramy S. Peter od moskalów Witgensteina. Los Polski na teraz przegrany. Buława marszałkowska tonie w Elsterze. Ale honor jest. żywy nieśmiertelny, twórczy, gdy ziemia sto razy obróci się około słońca...

— — — — — — — — — — — — — —

I znowu Francja, niemal ściśle po stu obrotach słońca wyzwoliła Polskę. Znowu błędne i chwiejne, migawkowe i przelotne kombinacje i machinacje przecinają jasną, prostą, jedyną drogę narodu. Bezmyślne ręce sypią kwiaty nazwisku bohatera, a znieważają jego czyny, jego testament. Gdyby marszałek ożył ciałem z wawelskiego sarkofagu i rozejrzał się dokoła po Polsce, wrócił by do swego kamiennego mieszkania z bladym szeptem: „jeszcze nie czas, oni śpią".



Z galerji bohaterów narodowych. Ks. Józef Poniatowski w wieku młodocianym.
Podług portretu J. Grassiego.

Jan Klim, ppułk. szt. gen.

OCENA SYTUACJI NA FRONCIE.

W jednym z numerów Kurjera Warszawskiego poruszając kwestje ofensywy jesiennej bolszewickiej, wyraziłem swój pogląd co do naszej granicy strategicznej na Wschodzie. Rzeka Prypeć i błota Polesia dzielą nasz front na dwie części; front południowy i północny. Ten naturalny podział frontu rozpoczyna się na wschód od Brześcia Litewskiego a cała akcja naszych sił zbrojnych dalej na Wschód wytwarza coraz szerszą przestrzeń między głównemi osiami naszych działań biegnącemi w kierunku ekscentrycznym (od linji Brześć Lit. — Białystok na północny wschód i od linji Brześć Litewski — Chełm na południowy wschód). Wobec powyższego Brześć Litewski staje się ogniwem wiążącem obydwa fronty przykryte na flankach; pierwszy bagnami i lasami Augostowskiemi i obszarami jezior i dopływów Niemna drugi całym szeregiem obronnych naturalnych pozycji rzek Zbrucza, Seretu, Strypy, Lipy nie mówiąc już o umocnionym rejonie Przemyśl—Jarosław. Wszelka ofensywa połączona jest ze stratami, ale te straty dają się tym boleśniej odczuwać o ile akcja musi być siłą rzeczy prowadzona w kierunku *ekscentrycznym*, wyczerpanie musi nastąpić w dużo krótszym okresie czasu aniżeli w akcji prowadzonej w kierunku *koncentrycznym* (stopniowe zwężanie frontu), zdążającej do okrążenia prz-ka. Passywna obrona zawsze doprowadzić musi do katastrofy i tylko obronna akcja wyczekająca odpowiedniej chwili do kontrofensywy obiecuje w pewnych warunkach nawet znaczne sukcesy. Takich przykładów obecna wojna 1914—1920 dała dużo. Straty przy odwrocie są zawsza dużo cięższe aniżeli przy ofensywie, pomimo to odwrót w kierunku ekscentrycznym jest tem mniej niebezpiecznym im rozleglejsze są obszary danego państwa (Rosja). Odwrót prowadzony w kierunku koncentrycznym doprowadzi do zupełnej katastrofy o ile w odpowiedniej chwili (zwężenie frontu, rezerwy, wyczerpanie przeciwnika) nie zostanie wyrwane prz-kowi inicjatywa i akcja jego nie zostanie sparaliżowana kontrakcją w odpowiednim kierunku.

O ile w przyszłości Rzeczpospolita Polska będzie jedynie broniła swych granic musi się liczyć z wyżej przytoczonemi akcjomatami.

Cała akcja naszych wojsk na froncie dążyła do zabezpieczenia Państwu granicy strategicznej, a ostatnie komunikaty najwyraźniej stwierdziły, że do owej granicy wojska nasze dotarły. Na południowym froncie granicę strategiczną stanowi rzeka Horyń z dopływem Stubielą a dalej Seret, zaś na froncie północnym granica strategiczna staje się mniej wyraźna wobec tego, iż wojska nasze przekroczyły naturalną linję obronną rzek: Jasiołda — Kan. Ogiński — Szczara—Niemen, jaka osłania najdogodniejszy dla armji naszych place d'armes w trójkącie między Grodnem, Brześciem Lit. i Słonimem. Przestrzeń pomiędzy wspomnianą linją komjiis a linją rozejmowej jest o tyle dogodną, że akcja prowadzona na tej przestrzeni zabezpieczy nam czas niezbędny do umocnienia naszej osłony, niema jednak żadnego znaczenia pod względem strategicznym, gdyż w północnej swej części wytwarza wązki korytarz polski rozdzielający Litwę i Rosję a jako takowy nawet w razie wojny z ostatniem z tych państw, nie mówiąc już o wspólnej akcji, naturalnie nawet krótkiem uderzeniem od Mołodeczna będzie sforsowanym przez prz-ka, a dostęp do tak ważnego administracyjnego punktu jak Wilno stanie się dla nas zamkniętym. Powoływanie się na linję niemieckich okopów nie wytrzymaje krytyki, gdyż obrona na lej linji musi doprowadzić jedynie do częściowego rozgromu naszych sił ohraniających tę linję zwłaszcza w północnej jej części (od linji kolejowej Mołodeczno-Wilno), ponieważ linja odwrotu jest równoległą do linji frontu. Stąd też strategiczne znaczenie Wilna równa się zeru, a linja kolejowa Wilno—Baranowicze—Sarny w północnej swej części może mieć drugorzędne znaczenie jako o najmniej dogodnym kierunku, gdyż w razie uderzenia prz-ka zawiśnie w powietrzu (Baranowicze), a w południowej części bez żadnego znaczenia (blizkość granicy).

Mieczysław Jarosławski.

POLITYCY WŁASNEGO NOSA.

Żyjemy w czasach, kiedy „politykowanie" stało się chorobliwą manją, uprawianą przez najszersze warstwy społeczne. Politykują domorosłe pismaki i pisarczyki, emeryci po ś. p. rządach obcych, i żółtodzioby nowego porządku, arystokraci z tabesem i plebs analfabetów—każdy czuje się powołanym, każdy ma wielki rozum polityczny, wyrobiony sąd o rzeczy, co najgorsza zacietrzewienie iście ptasie doprowadzające do wyrywania sobie nawzajem piór i „najniepolityczniejszych" wymysłów. Każdy wypadek w dziedzinie polityki znajduje sobie natychmiast tysiące komentatorów tak przekonanych o swej nieomylności, że zdanie „przeciwnika politycznego" potrafi doprowadzić do szewckiej pasji nie tylko zawodowego szewca, ale nawet tego, który ministrem tylko dlatego dotąd nie został, że przecież naraz wszyscy ministrami w Polsce być nie mogą. Ale będą... po kolei, bo wszyscy mają ten genjalny rozum polityczny, który właśnie Polskę może ratować, budować, wynosić ponad inne państwa i t. d. i t. d.

Zaledwie gdzieś ukaże się jakaś wiadomość, jakieś posunięcie dyplomatyczne rządu, a już lecą wiadomości zasiągnięte z „pewnych" źródeł, już się obmawia, posądza, już się biada i przewiduje wszystko najgorsze z taką dokładnością o jaką trudno doprawdy posądzić przeciętnego Polaka.

Tysiące rad i niezadowoleń z nieprzyjęcia ich przez osoby „miarodajne", tysiące nieporozumień rodzinnych i towarzyskich, tysiące ofiar na urzędach „za odmienny sąd w sprawie polityki" — tysiące tych niedocenianych pereł myślowych domorosłych genjalnych mężów stanu i niewiast zapełniają atmosferę naszego życia czadem, mierząc w podstawy spokojnego bytu, pracy i biernych ale pożytecznych dla kraju oczekiwań. I nie masz rady, nie masz sposobu przeciwko tej politykomanji.

Skąd naraz naród polski odkrył w sobie tyie zdolności? Skąd naród, który przez wiek cały zajmował się wszystkiem, tylko nie polityką, wyhodował w sobie taką bajeczną intuicję polityczną, tyle zasobów niespożytej energji na tem polu?

Jakież to wielkie nieszczęście, iż nie mamy w Polsce dostatecznej ilości posad urzędowych polityków, aby wszyscy mogli znaleźć zastosowanie dla swych wybitnych zdolności! Jakaż wielka strata dla ludzkości, że Europa nie korzysta z tego nagle odkrytego źródła wielkiego rozumu politycznego i nie powołuje do siebie na stanowiska tych naszych genjalnych mężów stanu rekrutujących się z zastępów wszelkich warstw społecznych?

A jednak dlaczego nasza polityka, ta która ma Polskę ponad inne państwa wynosić, bierze ustawicznie w skórę, a niczem niezrażona nie przyznaje się do ciągów, nie odczuwa ich, ustawicznie powtarzając: strzyżone—golone.

Może to tylko chwilowe, może jeszcze nie zdążyli poznać się na nas w Europie?

Niestety, poznali się dobrze i dlatego mogą prowadzić nas na pasku jak chcą i dokąd chcą. Krzycząc bowiem hałaśliwie, nie wiemy o jednem, że sprawy polityczne załatwiają się bez wielkich krzyków a poważnie i po odpowiedniem przygotowaniu gruntu.

Bo nie rozumiemy, że społeczeństwo nasze nie składa sią z polityków, lecz z politykomanów, z tych, którzy chcąc rozum swój pokazać i siebie ponad innych wynieść, ukazują swoją głupotę i narażają na śmiech sprawę Polski.

Bo polityka polega na wielkiej umiejętności narzucania komuś swego zdania, podstępnem wyprowadzeniu w pole przeciwnika, na osiągnięciu dla siebie jaknajwiększej korzyści drogą umiejętnych wystąpień, na wielkiem złodziejstwie, nie przyswojeniu sobie techniki drobnych kieszonkowców. Nasi domorośli politycy myślą zaś w swem naiwnem zaślepieniu, że polityka polega na korygowaniu czyjegoś poglądu w otwartej potyczce, w brutalnej mieszczańskiej napaści, w wyłuszczeniu wszystkich za i przeciw, w wyłożeniu wszystkich kart i wyszastaniu atutów odrazu.

I przegrywamy. Przegrywamy wszędzie tam, gdzie zetkniemy się z dyplomacją mającą za sobą długą historję badań naukowych i zdobyczy praktycznych.

Miast argumentów mamy ślinę, miast rozumu — żółć i wątrąbę, miast instyktu—najczęściej porywy serca, lub drobiazgową niczem nieosłoniętą nienawiść straganiarzy do swoich konkurentów.

Miast języka dyplomatycznego stosujemy krzykactwo, którem upajamy się sami w tej

właśnie chwili, kiedy przeciwnik nas już połknął i ze spokojem kiwa głową, nie przytakując, jak nam się zdaje, naszym wywodom, lecz ubolewając nad naszą naiwnością. Na to, żeby zostać dyplomatą, a choćby najskromniejszym zdrowo myślącym politykiem trzeba znać historję swoją i narodów nas otaczających, znać trzeba rozwój myśli ludzkiej, orjentować się w kierunkach filozoficznych, mieć najelementarniejsze podstawy o socjologji, należy przestudjować dokładnie podstawy nauk politycznych i ponad wszystko mieć w sobie rozwagę, skupienie, zdolność obserwowania i słuchania, a więc trzeba pracy i wytrwałości.

I w przeciwieństwie do tych zrozumiałych wszędzie postulatów nasi politycy mają wstręt do tego wszystkiego co nazywa się pracą przygotowawczą, uważają, że nie należy na to tracić czasu, że wystarczy przesiąknąć się gnoikiem wyprodukowanym na własnym śmietniku, aby zasłużyć sobie na miano polityka, ba, nawet dyplomaty.

Zatem nie spory, ścinania się i napaści w kawiarniach i prasie rzekomo natury politycznej dopomogą nam w budowie Polski i w stworzeniu korzystnego ustosunkowania z naszymi sąsiadami, lecz zrzucenie z siebie pyszałkowatości, przyznanie się do tego, że umiemy w tej mierze zaledwie bardzo niewiele oraz wkroczenie na drogę systematycznych ćwiczeń szkolnych nie tylko młodszego pokolenia, ale i tych, którym się dotąd zdawało, że tylko czekają na nich ministerjalne fotele i ambasady zagraniczne.

Wielka wytężona praca w tym kierunku, naukowe poznawanie metod przeciwnika, badanie własnej historji, własnego kręgosłupa narodowego, nauka historjozofji i socjologji mogą dopiero dać nam wybitnych dyplomatów.

Jesteśmy zapóżnionym w rozwoju kulturalnym kopciuszkiem narodów europejskich i do tego musimy przyznać się śmiało, jeżeli nie chcemy dać się ośmieszać i wyzyskiwać nadal.

A nadto trzeba uświadomić sobie wreszcie, że historja nie tylko tworzy się dniem dzisiejszym, ale szeregiem takich po sobie następujących dni. Należy więc starać się o to żebyśmy byli przygotowani na przyszłość oraz nie zapominać o tem czem jesteśmy, niestety, jeszcze dzisiaj.

Maciej Wierzbiński.

PRZYSŁUGA.

NOWELA.

Noc. Latarki, zrzadka poprzylepiane na długiej, drewnianej ścianie baraków dla jeńców, nie próbowały rozproszyć, pokonać gęstej toni mroków. Tliły się anemicznie, skłębione mglistem spowiciem wilgoci jesiennej, niby w mlecznych kloszach, tłumiących śmiały rozblask światła.

W roztopach czerni majaczył bezkresny, dość zwarty szereg prymitywnych tapczanów, nurzał się w nich, tonął i ginął, jak sen z katuszy więziennych poczęty, w grobowe wyziewy i widma mar omotany.

Leżały tam pokotem kłody zdrowych ciał męskich — jeńców, całodzienną pracą z nóg zwalonych. Gdzieniegdzie podnosiły się pomruki chrapliwe, czasem ulatywało głębokie westchnienie — bezwiedna skarga. Sen twardy, kamienny pogrążył wszystkich w pieczarę niepamięci, wchłonął smutki, tęsknoty i żale, położył na jeńcach dobrą, kojącą dłoń matczyną.

Z jednego siennika podniósł się cichuteńki szelest, jakby myszy dzieło, i głowa młodego jeńca uniosła się niepostrzeżenie.

Spozierał z wytężeniem oczu i najwyższem napięciem uwagi na czarną, widmową postać w płaszcz otulonego dozorcy, który, pełniąc nocną służbę strażniczą, wsunął się do baraków i kroczył niby na łapciach, skradał się jak cień wzdłuż ściany, kręgami mdłych świateł poznaczonej. Chwilami ceratowa czapka pospolitaka łyskała plamkami świetlanemi.

Jeniec wpił się wzrokiem w mroki, chcąc rozpoznać go, jakby od tego zależało bardzo wiele — wszystko.

Czemu ów cień posępny zatrzymywał się co krok, niby licząc tapczany?

Bezsenny jeniec zrozumiał to i przeszywał go lodowaty dreszcz lęku.

Szukał on winowajcy, szukał rosyjskiego jeńca — szaleńca, który ośmielił się uderzyć go w twarz kułakiem...

Dnia tego po wschodzie słońca, gdy już

wszyscy jeńcy powstawali i wychodzili z baraków do pracy, Stanisław spoczywał jeszcze na posłaniu. Nie chciało mu się dźwignąć przemęczonych członków; przeciągał się, ziewając niby na puchach. Więc dozorca krzyknął na niego raz i drugi. Podniósł się tedy jeniec, naciągnął buciska, przywdział odzienie leniwie, dotknięty tonem głosu jego i chmurny, zwłaszcza, że zgniły ranek listopadowy nasączył mu w duszę łzy smętków beznadziejnych.

Wtem zbliżył się doń dozorca, opieszałością jego rozgniewany, i cisnął mocne słowo — coś, co ugodziło wrażliwego jeńca gdzieś pod żebra tak, że zaszumiała w nim krew młoda, zalała mózg wrzątkiem i poniosła go...

Zerwał się w nim junak, który w posiew miljonowych kul, warczących wściekle, w ogień szrapneli i granatów szedł na czele osieroconej roty jakby w taniec wspaniały.

— Jak pan śmie przemawiać tak do mnie!... — syknął i niemal jednocześnie ugodził go pięścią w twarz, o mało nie powalił o ziemię.

Szaleństwo fatalne, okropne!...

U djabła, nie darmo płynęła w nim zapalna krew szlachecka! Ojcowie jego nie namyślali się długo przed dobyciem szabli, nieraz damascenką gracką torowali sobie przez gąszcz wrogów drogę, nieraz o lada figiel broń krzyżowali chwacko. Więc syn ich zapomniał, jaka to zaszła różnica między wówczas a dzisiaj.

Stało się i świadomość groźnego, brzemiennego w następstwa czynu strzeliła mu do głowy. Jak chart wyskoczył na dziedziniec, gdzie tułało się bezładne stado towarzyszów jego, zbierających motyki i inne narzędzia pracy. Wpadł między nich.

— Ratujcie!... — rzucił im tajemniczo i z wielką przytomnością umysłu, wmieszawszy się w gromadę, przybrał w oka mgnieniu pozory niewinnego, pochopnego do pracy jeńca.

Nadbiegł dozorca, począł rozglądać się między setką jeńców tu i owdzie, szukać mało sobie znanej twarzy przestępcy, lecz ile razy miał już podejść ku niemu, zajrzeć mu w oczy, towarzysze Stanisława tak manewrowali sprawnie i lisio, że zawsze odgradzali go odeń swemi figurami. Bo Stanisław szepnął im natarczywie:

— Zasłaniajcie mnie...

A po przez szept ten udzieliło się im prze czucie grozy wiszącej nad nim jak klątwa.

Dozorca nie zdołał go wyśledzić.

Gdy doniósł o zajściu tem komendzie, kazano mu oczywiście wskazać i aresztować przestępcę. Wróciwszy przeto wieczorem na służbę, dozorca wtargnął do baraków, by przypomnieć sobie w skupieniu, w którem to miejscu rozegrała się scena. Znalazłszy je bowiem, będzie miał w ręku zuchwałego, czelnego winowajcę.

Posuwał się żółwio naprzód, minął posłanie Stanisława, śledzony czujnem jego okiem, i już wzbierała fala cudnej nadziei w zapartej piersi nieszczęsnego jeńca, gdy dozorca cofnął się nagle, stanął jak wryty nad nim. Uprzytomnił sobie teraz dokładnie! Tapczan szaleńca leżał wprost w okno. Miał go! Skoro świt, spocznie na nim ręka sprawiedliwości...

Utrwaliwszy sobie w pamięci miejsce zajścia, dozorca ruszył dość żwawo ku wyjściu.

A że nic — ani cień cienia — nie uszło uwagi przestępcy, więc pojął on, co znaczył ów przystanek dozorcy przy jego posłaniu. Odkryto go. Daremne były wybiegi. Był straconym...

Z brawurą, cechującą go w bojach, cisnął sobie w oczy nagłą, okropną prawdę i spojrzał na dno strasznej, otwartej przed nim otchłani...

Na jakiś fragment czasu w młodem ciele junaka zachybotała nadzieja, nieodstępna i dobra żywych towarzyszka, lecz odepchnął pocieszycielkę i padł w nurt beznadziejności. Zachichotało coś w jego duszy głosem puszczyka; dziwnym rzutem myśli przypomniały mu się słowa pewnego monarchy do Polaków wyrzeczone i szepnął z piołunowym sarkazmem: point de rêveries...

Acz w ostatnich miesiącach śmierć kosiła dookoła niego, kładła pokotem ludzi jak kłosy i szczerzyła nań kły chełpliwie, nigdy nie poczuł jej taką bliską i nieubłaganą, jak w tej chwili. Z boju szła huraganem, z łoskotem, hukiem i rykiem wściekłych orkanów, kąsając ziemię, rwąc ją w kawały, rozwalając domy, przelatując obok niego z dzikim świstem hordy wiedźm i opętańców. We widowisku grozy i zagłady ogólnej, przechodzącem wszelkie fantazji wytwory, zatracał coś ze siebie; nastrojony na nutę heroiczną, napięty w łuk bojowy a jednocześnie zagłuszony, znieczulony i zautomatyzowany istniał jako cząstka machiny, puszczonej w bieg przez jakieś moce piekielne. Tymczasem teraz, wypełzłszy z głuszy nocnej, zimna kostucha stanęła nad nim — tylko nad nim, czekała na niego jednego. Poczuł lodowate jej tchnienie na czole i ujrzał dziesięć luf karabinowych skierowanych w pierś swoją.



Zaskoczeni komisarze bolszewiccy pod Ciechanowem.

(Rysował naocz. świad. por. B. de Rosset).



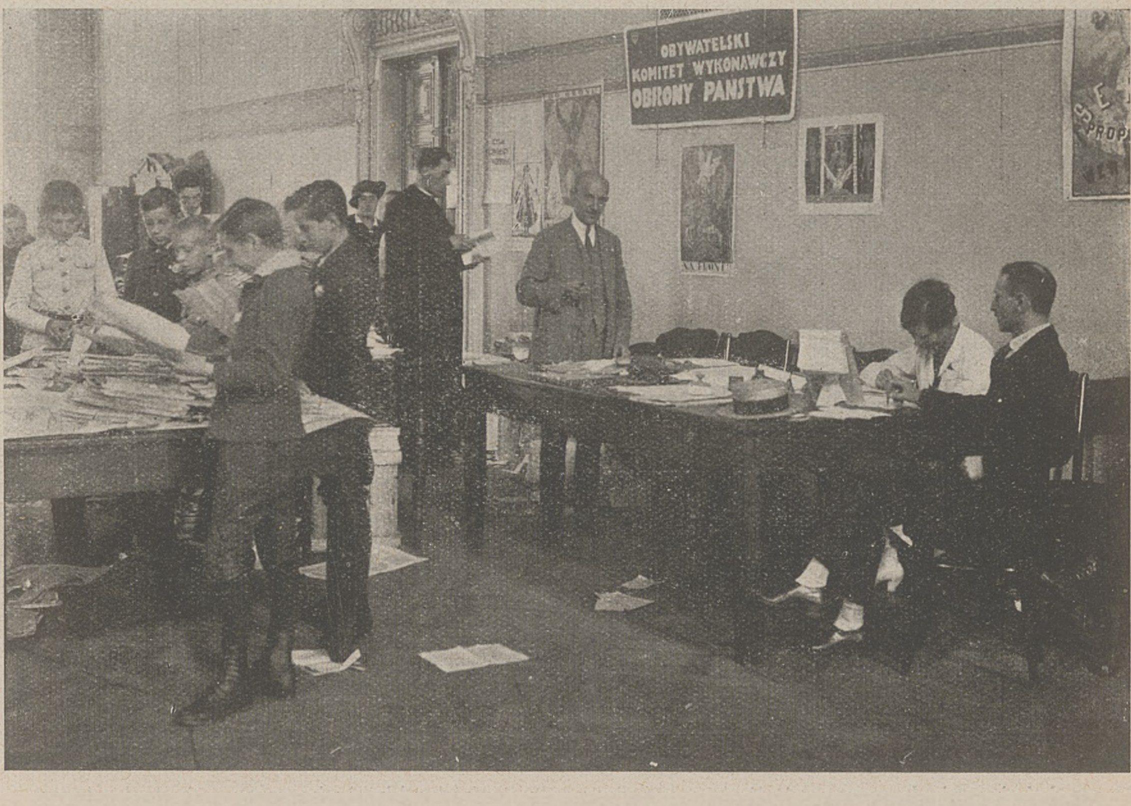
Przegląd przed wymarszem w bój 2 pułku strzelców konnych przy 2 Dywizji p. Leg. Pułk ścierał się dzielnie z kawalerją Budiennego. *(Fot. p. Ordża).*



Bolszewicy wzięci do niewoli przez włościjanina polskiego. *(Warsz. Agencja Fotogr.).*



Z prac Obywatelskiego Komitetu Wykonawczego. Przygotowywanie paczek dla żołnierzy.



Z prac Obywatelskiego Komitetu Wykonawczego. Ekspedycja gazet i odezw na front.













Praca i ćwiczenia harcerzy. 1) Budowa namiotu. 2) Pochód oddziału harcerzy. 3) Rozkładanie ogniska. 4) Obóz harcerski 5) Ćwiczenia polowe. 6) Harcerze przenoszą rannego towarzysza.

Wszystka jego żądza życia najeżyła się, zbuntowała i wystąpiła do walki nierównej, jakby lis w pułapce węszył chytrą ścieżynę ujścia przed losem.

W ciągu dnia tego kilkakrotnie znachodziła go myśl ucieczki, lecz pierzchała, skoro zważył ją na wadze rozsądku. Raz jeszcze budował teraz złote mosty ucieczki z otchłani, szamotał się i borykał z przeszkodami, aby w końcu powtórzył sobie znowu: point de rêveries.

Wreszcie jak śmiertelnie znużony wędrowiec padł na padół rezygnacji, i myśl rozprężona, załzawiona poszła mimochodem na dalekie, ojczyste zagony, niby dziecię stroskane do matki, zajrzała do starego dworu, może opustoszałego, może w gruzach leżącego bez skargi, zapuściła się w ogród do pięknego sędziwego dębu, który widywał od dziecka z okien ojcowskiego pokoju.

Nie wiedział dotąd, że drzewo to wrosło w jego duszę korzeniami, żę wcielił w nie wszystko, co wziął po dziadach i co umiłował, że ów dąb był czemś więcej niż drzewem—był odwiecznym, dostojnym panem jego rodzinnego sioła. Jakby drgało w niem serce matki, ojca i kraju, przytulił się do niego, jak chłopię wylęknione do niani, wsparł biedną głowę o chropawy pień starca i szeptał modlitewnie:

— Weź mnie i osądź! Przygarnij lub odtrąć, wybaw lub zabij!... Umrę przy tobie pokornie, mój dębie kochany, jakbym umierał za ciebie...

Spoczywając tak pod konarami dębu swego, żegnał się westchnieniem całej, jak fala wielka a cicha wezbranej duszy ze swoimi, co pozostali tam gdzieś daleko od niego, daleko...

II

Jutro? Zaaresztują go, wtrącą do kaźni, potem osądzą, potem... śmierć.

Po cierniach okropnego pognębienia, prowadzi go droga do krwawego końca, krok po kroku pójdzie na swoją Golgotę. Nim nadejdzie epilog, wypadnie mu wpierw odegrać kilka scen dramatu, nim serce jego przestanie bić na wieki, musi przedtem być rozdarte i rozkrwawione.

Siny strach przed tem czarnem jak grób jutrem schwycił go za głowę, targnął nim jak wiechą we furji oprawczej, aż coś krzyknęło w nim w niebogłosy:

— Nie! nie! Skończyć odrazu!...

Z tem postanowieniem chłodny zdrój ukojenia rozlał się po rozkołysanych nerwach. Ze strachu przed śmiercią chciał skoczyć w ramiona śmierci. Nie jak kozioł bierny i tępy, lecz jak pan, co życie swe, niby szmat, śmiałym odrzuca gestem.

Zapatrzył się w martwem osłupieniu na przygasającą w pobliżu latarkę, na jej płomyk, który drgał w agonji, raz łyskał, raz przygasał raptownie. I tak konał—jak wygnaniec od świata daleki, niewidzialny, nieopłakany przez nikogo.

Żałość dojmująca zdjęła go nad tym płomykiem, co przestawał istnieć...

Gdy latarka zagasła, Stanisław myślał nad czemś przez chwilę, poczem powstał bez szelestu, podkradł się do latarki, wyjął jej cylinder i uniósł go z sobą na posłanie.

Noc była głęboka, gdy śpiący obok niego jeniec ocknął się ze snu, szarpnięty za ramię, i wymówił:

— Co to?... To ty, Stachu? Co się stało?...

Wyciągnąwszy szyję ku niemu, Stanisław począł szeptać cichuteńko a dobitnie, opowiadać o dozorcy, wynurzać obawy, a przyjaciel przerwał:

— Czyliż taka ma cię spotkać kara?

— Taka, nie inna... Pamiętasz przecież, co czytaliśmy nie tak dawno w gazecie o zajściu podobnej natury w obozie jeńców w Czechach. Cóż spotkało tego młodego człowieka?...

Wymowne milczenie odpowiedziało mu na to i długo wisiało między nimi.

— Słuchaj Kaziu! Ty musisz mi oddać przyjacielską przysługę... — szepnął jakby bez tchu Stanisław.

— Jaką?

— Musisz... przeciąć mi żyły u ręki skorupą...

Siennik zachwaszczał. Kazimierz rzucił się na legowisku, jak ryba w sieci, i oniemiał. Wreszcie wybełkotał:

— Ja?... Ja miałbym ciebie...?!

— Musisz... — naparł na niego z ciemności szept. — Ja sam nie mogę. Zmierzyłem swe siły. Niema we mnie materjału na samobójcę. Jeżeli jesteś mym przyjacielem...

— Ależ dlatego właśnie tem trudniej...

— Nie, tem łatwiej będzie tobie podać mi rękę i przeprowadzić mnie na drugi brzeg świata. Do ciebie zwracam się, bo wiem, żeś przyjaciel, żeś mężny... Ani cień podejrzenia nie padnie na ciebie. A pomnij, że czasy są

dziwne. Więc nie tak dziwnej żądam przysługi...

— Strasznej żądasz rzeczy... Ja cię kocham...

— Dlatego zrobisz to, mój bracie, pomożesz... I ja cię kocham, bom poznał cię w okolicznościach, w jakich poznaje się ludzi, a będę cię kochał nadewszystko, jeśli wybawisz mnie od mąk czyśćcowych...

— Chryste!... — wyszeptał Kazimierz i zapadł w milczenie głazu.

Czas płynął. Można było przypuszczać, że on usnął, bo ni szmer nie dochodził z jego strony, lecz on, zanurzywszy palce w zczochraną czuprynę, prządł różne myśli.

Kto inny na miejscu Stacha byłby ugiął kark gibki, skulił się i skurczył w sobie i połknął pigułkę. Tak przystała na kreaturę w niewoli i — na dostosowanego dobrze do życia człowieka. Dla takich świat ten był stworzonym wyłącznie, dla bezkrwistych manekinów i machin ludzkich, dla takich małych, przyziemnych robaków, co, pełzając w prochu, omijają snadnie wszelkie kataklizmy życiowe i zawsze gdzieś znachodzą plaster swego miodu. Mądrzy, bo nie znają porywów orlich, nie znają silnego odruchu, rycerskiego gestu, śmiałego czynu. Dla żuków jedynie świat ten jest bezpiecznym i dobrym.

Czemuż właśnie ten junak o krwi rycerskiej i sercu złotem, jakiego czasy te potrzebowały tak bardzo, stał się ofiarą losu? Właśnie tej szlachetnej rośliny i ozdoby wyzbywał się świat, hodujący skrzętnie chwasty, snadź czuwając, by utrzymać ludzkość w nizkim stanie zwierzęcości.

I on miałby stać się narzędziem tego losu? Łamać brutalnie ten kwiat silny i piękny, mordować młode życie i krwawić swe ręce w krwi przyjaciela?...

A jednak w czasach, gdy życie jednostki postradało wartość i krew lała się strumieniami, nie tak wielką była przysługa, jakiej żądał Stanisław... Stokroć lepiej, że ręka bratnia przeprowadzi go po za wielki znak zapytania, aniżeli kto inny. „Dobrze umrzeć, sądził Seneka, to uciekać przed niebezpieczeństwem złego życia". Miałże zatem on, przyjaciel, przez małoduszność wydawać przyjaciela na pastwę okropnej udręki i, stojąc na uboczu obojętnie, myśleć o powolnem jego umieraniu?...

Od pierwszej chwili Kazimierz wiedział, że nie cofnie się przez grozę prośby, lecz wzdrygało się w nim serce, krępowała go odraza fizyczna do roli oprawcy. Spoczywając bez ruchu, sądził, że może Stanisław odczepi się od swej myśli.

Lecz wkrótce poczuł na ramieniu dłoń przyjaciela, szukającą w ciemnicy jego ręki, i szept żarliwy, z pod serca wyjęty, padł w noc:

— Błagam się...

Dźwięczała w głosie nietylko korna prośba, lecz moc, udzielająca się słuchaczowi, i nakaz, wzywający do heroizmu.

— Jesteś gotów?... — bąknął Kazimierz, przejęty misją bolesną a wielką.

— Gotów... Ani krzyknę... Zęby zatnę...

Ręce ich złączyły się, zacisnęły w ucisku mocnym i długim. Tak spoczywali bez słowa, w poczuciu swej szczytnej, niebotycznej przyjaźni i osobliwej, sakramentalnej godziny uświęcającej ich męski związek dusz. Z cichej ekstazy tego momentu Stanisław wyszedł wzmocniony na duchu i mężny. Szepnął jedno słowo:

— Teraz...

I posłuszny przyjaciel pochylił się ku niemu torsem, przyjął od niego w chustę grubą zawinięty kawał szkła a drugą ręką pochwycił go za palce ręki, która nie drżała. Zawahał się wszakże; zakołysała się w nim fala zmieszanych uczuć, przytrzymała go za ramię. Zdawało mu się, że ma sam sobie odbierać życie.

Snadź udzieliło się coś z tego wahania Stanisławowi, bo nagle wyszeptał:

— Stój! Nie jeszcze!... Daj mi jeszcze chwilę... Życie jest piękne...

Usłał znękaną głowę na ramieniu Kazimierza, który zagadnął go z cicha:

— Czy to być musi, Stachu?...

Długo czekał na odpowiedź. Jak gałąź złamana i wiatrem targana Stach spoczywał przy jego boku. A czas jakiś ciężki, żelazny kroczył powoli, uroczyście przez noc czarną. Wreszcie Kazimierz posłyszał wyrok; padło słowo niby kropla ołowiu na głaz zimny:

— Musi... Teraz...

Kazimierz zebrał całą swoją moc w piersi, zaparł oddech, zaciął zęby, wywołał w sobie brutalną, tępą zaciętość i — jednym ruchem wgryzł się szkłem w ciepłe, młode ciało.

Krew bryzgnęła. Chusta przytrzymała i ujęła ją w siebie.

Stanisław żachnął się, syknął i—odetchnął, bo lęk spadł mu z piersi. Wyzwolił się z mo-

cy ziemskich. Zbroczone ramię legło wzdłuż ciała.

— Dzięki... Żegnaj!...

Uciekało młode życie a — Kazimierz, jak liść drżący, czuł, iż lodowaty dreszcz pełza po jego czaszcze, ścina krew jego, przeszywa go zimnem sarkofagu.

Odór gorącej, lepkiej krwi drażnił jego nozdrza, groza, trzymała go w objęciu.

Czas szedł dalej, sekunda za sekundą z powagą rycerza w stal zakutego, a Kazimierz u nóg jego uwisły, posuwał się z nim, niby za pogrzebem...

Milczenie wisiało nad nim chmurą i nad legowiskiem jeńców. Noc brała w siebie tajemnice.

Gdy świt zajrzał przez szybę i na dworze zaświergotały ptaszyny, blady jeniec spojrzał na martwą, z kamienia wykutą postać junaka.

— A ja?... A ja mam teraz żyć z tą myślą?...

EUGENJUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

Słowiańska północ...

Słowiańska północ. Długie pasma borów.
Zieleń łąk biedna jakaś, zawsze wczesna,
głębia rzek dziwnie smętna i bolesna,
perłowe niebo bez tęcz i kolorów...
Wszystko dokoła w ciszy i zadumie,
majestat smutku legł na wszelkiej rzeczy,
nic tu nie kłóci się z sobą, nie przeczy
lecz wszystko w smutku się wspólnym rozumie...
Tam białe noce bezsennieją latem
po wszystkich gajach i po wszystkich borach
i cisza świtów panuje w wieczorach,
ubogich śpiewem słowika i kwiatem.
W brzóz liściotryskach, przetykanych świerkiem
noc całą świt mrzy i odymia liście,
ciekoty leśne lśnią jeszcze przejrzyściej
jakby kto w trawie bawił się lusterkiem.
Niektóre kwiaty zamykają oczy
jak rozmarzone w krzywdzie własnej dzieci,
coś niepewnego w splątaniu źdźbeł świeci,
i chłód podziemny ros gradem się toczy.
Od srebrnej brzozy do ciemnego świerka
jakoweś cienie słaniają się ciągle,
księżyc oświeca, wysoko, okrągłe
i jednostajnie jak zegar, świerszcz ćwierka.

W drodze na Murmańsk
na Dźwinie Północnej.

Znak Krzyża Św.

Żeś w błędzie, bracie, wiem...
Lecz nakreśl ręką Krzyż
i to, co było snem,
zadzwoni ci, jak spiż

Cudowny jest to znak,
gdzie w J e d n o ś ć rośnie p i o n,
a p o z i o m — szalą wag,
na których waży ON.

Przeżegnaj cobądź z drzew...
ot, którąś z polskich brzóz —
odpowie tobie śpiew,
zrodzony we łzach rós...

Przeżegnaj kwiaty łąk,
w kielichy zajrzyj im,
a będzie każdy pąk
dla Duszy twej, jak rym.

Cudowny jest to ruch,
więc z światem się nim złącz
i ujrzysz: p n i e m jest DUCH,
a wszystko wkoło — PNĄCZ.

Ten wszystek świat się wzwyż
dokoła DUCHA-PNIA
pnie, niosąc go, jak Krzyż,
a n i e w i e s w e g o d n i a.

Rozstaje.

*Gościniec nasz rozstajem
zaczyna się i kończy.
Słyszymy śpiew skowrończy
i, patrząc w niebo, stajem.
Przed nami nawprost — droga,
na prawo zaś — ścieżyna.
I Dusza przypomina:
którędy jest do Boga.
Widzimy: drogę bitą
źdźbłem trawa nie porasta —
ta droga jest do miasta,
a ścieżka idzie w żyto.*

*Nie wiemy, czy tą drogą
iść, czyli ścieżką — miedzą.
Lecz nasze serca wiedzą
i one nas wspomogą.
Więc — nie do miasta, kędy
jest po-pęd do u-życia,
lecz w żyto, co dla życia
zbożnego puszcza pędy, —
nawrócim... Zabrniem w zboże,
dotkniemy kłosów dłonią,
a one się pokłonią,
zaszumią: „Szczęść wam Boże“.*

*Jak kłosy, pośród kłosów,
wpatrzeni w górę, stajem...
szmat ziemi a niebiosów.
Więc uczym się dokoła
od zboża, w jaki sposób
cielesność naszych osób
przerobić na Anioła.*

*Z początku nas pomyli
patrzące, jak my, w niebo,
niegnące się nad glebą,
wśród plonu, co się chyli —
wyniosłe pustokłosie,
nie lepsze od kąkolu...
Lecz na tem samem polu
w tej samej rosną rosie
ziarenne źdźbła pochylne
(a nie sterczące pychą)
i mówią do nas cicho
w te słowa nieomylne:
„Napróżno wzwyż się garnie
„gardzący ziemską glebą —
„by rosnąć prosto w niebo,
„wpierw nagiąć się trza w ziarnie“.*

*... Słyszymy śpiew skowrończy
i, patrząc w ziemię, stajem...
I widzim, że rozstajem
cudownym świat się kończy.*

Już się rozpoczęła
SPRZEDAŻ OBLIGACJI
4% Państwowej Pożyczki Premjowej
Dnia 6-go LISTOPADA 1920 r.
będzie wylosowana z pośród tej ilości obligacji, jaka istotnie oddana została do sprzedaży

PIERWSZA MILJONOWA PREMJA

wypłacana wygrywającemu **bez jakichkolwiek potrąceń nie później niż w 14 dni** od daty przedstawienia odnośnej obligacji.

Lokata oszczędności i kapitału w obligacjach 4% Państwowej Pożyczki Premjowej, jest racjonalnem, celowem i korzystnem zabezpieczeniem gotówki.

Obligacjami tej pożyczki można posługiwać się jak gotówką, składając je w pełnej wartości nominalnej, jako: wadja przy licytacjach, kaucje akcyzowe i celne, kaucje przy zawieraniu kontraktów ze Skarbem Państwa, kaucje składane do depozytów wszelkich instytucji rządowych w wypadkach, gdy prawo przewiduje składanie kaucji pieniężnych.

Kuponami tej pożyczki można płacić cła i podatki państwowe. Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa i Pocztowa Kasa Oszczędności będą przyjmowały bez żadnej opłaty na przechowanie Obligacje 4% Państwowej Pożyczki Premjowej, aby uchronić posiadaczy przed pożarem, kradzieżą lub zgubą obligacji.

Przy wprowadzeniu przyszłej waluty polskiej
4% Państwowa Pożyczka Premjowa będzie przerachowana
po kursie o 10% wyższym
od kursu ustalonego dla wymiany znaków obiegowych.

W każdą sobotę w ciągu pierwszych dwudziestu lat
będzie wylosowywana jedna wygrana w kwocie

MILJONA MAREK POLSKICH.

DO PIERWSZEGO CIĄGNIENIA
cena Obligacji tylko 1.000 Marek
BEZ DOLICZANIA ODSETEK.

NA CZASIE

Camera lucida.

Któryś z wybitnych mężów stanu angielskich z powodu pewnego pokojowego szwindlu, popełnionego przez dyplomację angielską rzekł: tak, krew angielska nie płynęła, ale honor angielski płynął wszystkiemi porami". I kupiec musi mieć swój honor, inaczej jest pospolitym oszustem, którego fala cywilizacji musi prędzej czy później zmieść z społeczności.

Te konszachty nasze z bolszewikami w Rydze mają w sobie dużo gorzkiego niesmaku. Od lat trzech żydowsko mongolska banda morduje Polaków na obszarach całej Rosji, morduje w sposób przekraczający wszelką wyobraźnię ludzką, z genialną wynalazczością tortur i męczarni. Jeszcze nie upłynęło dwóch miesięcy od chwili, gdy te bandy praktykowały w rdzennej Polsce, tuż pod murami Warszawy i Lwowa, a już nasi delegaci niemal jak równy z równym, rozmawiają z nimi. Czyżby amitié cochon? Jeżeli to wypływa z dobroci serca i tolerancji, można nabrać wstrętu do wszystkiego, co nazywa się tolerancją.

Korzyść polityczna? Bardzo wątpliwa. Rozumowanie jest proste. Jeżeli, jak się zdaje, bolszewizm, jak dżuma już wyżarł sam siebie i kona, to chociażby chciał, już nic dać nie może. Mógłby jako najsłuszniejsze odszkodowanie za rabunek w Polsce, dać małą część zrabowanego ze skarbca carów i monastyrów złota, ale tego nie da ani funta. W rabunku spoczywa jego ostatnia treść. Przywódcy tej może najstraszliwszej w dziejach hekatomby, rzezaki żydy i tępe, bestjalne mongoły, prawnuki Judy i prawnuki Tamerlana wsiądą na automobile, wezmą nazwiska uczciwych burżujów i drapną ze złotem, gdzie pieprz rośnie i nie rośnie. Obszary Rosji na pewien czas zostaną bez pana, res nullius.

Jeżeli zać kres dżumie jeszcze nie przyszedł, nic słowa pokoju nie pomogą i wkrótce rozpocznie się nowy ku Polsce taniec. Tylko w warunkach gorszych, bo sumienie polskie odczuwałoby na sobie ciężar popełnionego, bezużytecznego brudu.

Wprawdzie nie jest to chwila, w której wołanie o sumienie może mieć natychmiastowy odzew. Jeżeli wszy jedzą żołnierza na froncie, to parchy toczą ogół na tyłach. Mamy u siebie wszelkie przejawy bolszewizmu z wyjątkiem czrezwyczajek, których u nas swoi zaprowadzić nie mogą z powodu łagodnych obyczajów narodu.

Bolszewizm „ideowy" jest myślą pieszczoną wszystkich naszych socjalistów. Gdyby nie obawa krwawych, bezwzględnych rąk Dzierżyńskiego, nie współzawodnictwo z tamtymi urodzonymi dyktatorami proletarjatu, idącymi drogą jawnego teroru, mielibyśmy i u nas pomnik dla Judasza. Tamto zuchwali bandyci, nasi trwożliwe rzezimieszki. Ale pokrewieństwo ich, i wspólna „ochrana" towarzyszów jest, i niedwuznaczne objawy sympatji są.

Zdawało by się, że wszyscy uczestnicy rządów bolszewickich podczas pamiętnego gościnnego występu, jako niewątpliwi zdrajcy powinni w ciągu tygodnia wisieć, a razem z nimi każdy, kto ośmieliłby się za poczwarami wstawiać. Tymczasem tak nie było. Mnóstwo zdrajców znalazło się w obrębie „sympatji" „humanizmu", „tolerancji" miejscowych towarzyszów, zaangażowanych w interesie tylko „ideowo". A tolerancja i humanizm zwróciły się nie do poszkodowanych, zrabowanych i zgwałconych ofiar, lecz do najokropniejszych katów i złoczyńców, jakich kiedykolwiek widziały dzieje. Bo kruk krukowi...

Oddychamy jeszcze złem, bardzo zepsutem powietrzem. Najnikczemniejsze uczucia osłaniają się królewskim płaszczem „dobra ludu". Źródło zarazy to socjaliści, raczej przywódcy partji, ludzie o pańskich dyktatorskich zachciankach, umyśle tępym i nietwórczym, a instyktach brudnych, szantażyści wszystkiego, co jest dobrem i pięknem, szantażyści niepodległości narodu i sprawy robotniczej, na dnie rzeczy narzędzie żydowskie. Bo jeżeli aryjczyk zejdzie z drogi godności i prawdy, żyd panować mu musi, jako w oszustwie sprytniejszy.

I. G.

Pod latarnią.

Upaństwowione dziadostwo.

Polska jest wyjątkowym krajem pod względem dobroczynności. Zdawałoby się, że ludność jej składa się z samych aniołów myślących li tylko o tem, aby bliźniemu coś dobrego uczynić. Każda potrzeba społeczna znajdzie sobie łatwo protektorów i chętnych ofiarodawców. Jeżeli potrzebny jakiś fundusz, czy to na umierające z głodu dzieci, czy to na wpisy szkolne, czy na podupadłe wdowy po wojskowych, czy też na zakład jakiś naukowy, a chociażby na plebiscyty, czy to wreszcie na wigilję dla żołnierza, lub nawet na ciepłe dla niego odzienie, albo na... zaspokojenie głodu, kiedy naraz po opuszczeniu frontu znajdzie się we wspaniałej

stolicy (inaczej to się nazywa przyjście z pomocą naszej intendenturze)—w tej chwili powstają komitety, roją się nadobne i mniej nadobne panie—kwestarki i dziurawe marki lecą z kieszeni publiczności jak z rogu obfitości. Bo jeżeli, naprzykład, potrzeba miljon, odrazu uzbiera się 1236 marek 35 fenigów i ogłosi się o tem we wszystkich pismach i podziękuje się wszystkim kwestarkom, które przy tej okazji zdarły lakierków za 15.000 mk. językorków własnych za drugie tyle, wypiły... czarnej kawy jeszcze raz za tyle i na same opaski „upoważniające“ wydały 1230 marek, tak że czysty dochód w sumie 6 marek 35 fenigów poszedł na zakupy pierwszej potrzeby. Ale cóż winno temu społeczeństwo? Ruch w interesie był, udział brał każdy kto był powołany i nie powołany i dowiedzieli się o ofiarności wszyscy, którzy czytają gazety, oprócz żołnierza lub innego w danym wypadku „ofiarnego kozła“ t. j. tego, na kogo ofiara była zbierana. Szczęście, że żołnierze i ci inni nie mają zawsze możności o rezultatach tych kwest przeczytać, bo dowiedzieliby się, jak wiele ofiarne społeczeństwo na nich wydaje.

I oto mamy przykład najgłupszej, najbardziej nieetycznej metody jaka istnieje pod słońcem, metody, która z ludzi i spraw poważnych robi szykany i zabawki, a z osób tej sprawie poświęcających czas i energję bezpożyteczne małpiątka przeczesujące sobie nawzajem sierść *pour passer le temps*.

Albo społeczeństwo się godzi na to, że jakaś sprawa wymaga nakładu pieniężnego i o tem przedewszystkiem winno myśleć ciało prawomocnie wybrane przez to społeczeństwo, t. j. sejm, a następnie rząd dostarczający odpowiedniego funduszu, albo się uważa, że jakaś wystawiona potrzeba nie ma racji bytu i wtedy nie ma o czem gadać.

Żebraniną może tylko żyć społeczeństwo niezorganizowane, społeczeństwo, w którem różne grupy przedsiębiorą poczynania na własną rękę.

Może mi ktoś powie, że skarb państwa nie ma tyle zasobów, aby mógł wszystkie te potrzeby zadowolnić. Wtedy mu odpowiem: jeżeli chce być skarbem Państwa, to przedewszystkiem od tej musi zacząć świadomości, że mieć powinien i dziadostwa publicznego tolerować nie ma prawa.

Niema prawa literalnego jako skarb, którego obowiązkiem jest potrzeby państwowe pokrywać, bo na to powstał i nie ma prawa moralnego jako współuczestnik rządów sprawowanych nad narodem, któremu w ten sposób ubliża.

Jeżeli zaś obowiązek ten sobie uświadomi, to będzie wiedział co ma robić, bo zobaczy, że ofiary składają ci, którzy zaledwie mogą rozporządzać groszami. Ci są najczęstszymi pieszymi gośćmi ulicy żebrzącej, podczas kiedy inni, których kapitały z dnia na dzień, wprost z godziny na godzinę podwajają się i potrajają, wolni są od tych oblężeń, mając mniejszą styczność z puszkami usłużnych kwestarek.

Tę anomalję skarb musi uregulować i na to jest prosty środek: podatki. Kto żyje w danem społeczeństwie, korzysta z zarządzeń instytucji do tego powołanych, ten obowiązany jest w odpowiedniej mierze do swoich zarobków opłacać się.

Pamiętam, kiedy w roku 1907 powstała w Niemczech t. zw. „Flottenverein“ i organizacja ta zarządziła wszędzie zbiórkę pieniędzy, nie uważano datku za ofiarę, lecz za wyraźny obowiązek, a pojęcie tego obowiązku posunięte było tak daleko, że kiedym kategorycznie odmówił podporządkowania się zbiórce—wymówiono mi mieszkanie, a niewątpliwie zmuszono by mnie do opuszczenia ławy uniwersyteckiej, gdybym dla zabezpieczenia siebie nie był użył wybiegu prawnego. Tymczasem u nas tysiące cudzoziemców „robi kokosowe interesy“, ale ani podatków nie płacą, ani też kwestarka nie uważa za słuszne wymagać od nich dobrowolnej daniny.

Żyjemy pod tym względem, jak stadko ligających się wzajemnie zwierzątek, podczas gdy do znajdujących się między nami wilków, ani społeczeństwo nie żywi żadnej pretensji ani rząd się prawnie nie zabiera. Podatki są dziecinnie małe, a dochody zdumiewające swoją bezczelnością i bezkarnością.

M. J.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

TEATR POLSKI. „Miłosierdzie“ — misterjum w trzech aktach K. H. Rostworowskiego.

Walka zła z dobrem rozumiana podmiotowo przez człowieka jest wieczna. Ani treść ani forma jej nie jest nowością.

To też autor, biorąc walkę ową za temat swojej pracy twórczej, treści zmienić nie jest w stanie, może on tylko z treści już pra-istniejącej niby z gliny wytworzyć formę, uwydatnić to, co w psychice jego znalazło dla siebie odbicie, co wypotężniało do grozy lub szlachetności idei. I zrobi to, jeżeli jest twórcą oryginalnym, powtórzy zaś wszystko to, co o danej treści powiedzieli już po sto razy inni, jeżeli będzie tylko bezdusznym naśladowcą.

Do pojęcia twórca dołącza się jednak jeszcze atrybut jakościowy, który przechodząc na przedmiot twórczości, staje się również zasadniczą cechą utworu

Dla laika układ kostny i mięśnie murzyna i aryjczyka są do siebie zupełnie podobne, antropolog znajdzie tu zasadnicze różnice, po których odróżni przedstawicieli dwuch ras.

To samo można również powiedzieć o twórczości w dziedzinie sztuki. Odnajdywać w niej należy wyraz rasy, a nawet wyraz narodu. Nie mówię tu o tworach przeciętnych, bo te najczęściej są przejawem hermafrodytyzmu rasowego.

Rostworowski jako twórca „Miłosierdzia" nie uwydatnił kręgosłupa narodu, do którego się zalicza. We wszelkim razie draperje artystyczne, w jakie ubiera swój utwór, nie pozwalają na dopatrzenie się kośćca polskiego. Nie chodzi mi o temat, bo tematy leżą na gościńcach ogólnoludzkich, ale nie widzę w tej próbie jasełek zgoła nic takiego, co pozwoliłoby Rostworowskiego zaliczyć do plejady twórców karmionych przez muzę polską. Pod tym względem „Miłosierdzie" zarówno dobrze mogło by wystąpić w oryginale niemieckim, francuskim lub angielskim, a żaden z tych narodów nie znalazł by tam siebie, nie dlatego, żeby narody te nie przechodziły przez fazę odmalowanego tam średniowiecza czy współczesności, ale dlatego tylko, że autor, zasłaniając się objektywizmem, popełnił błąd nie do darowania: z poezji zrobił rzecz publicystyczną, a przeto beznarodową, akademicką, suchą i zimną.

Być może to było zadaniem autora, zdaje mi się jednak, że, jak dotąd, nie jest zadaniem sztuki, szczególniej jeżeli chodzi o sztukę sceniczną.

Tak więc musimy patrzeć na „Miłosierdzie", jak się patrzy na artykuł traktujący o jakiemś zagadnieniu ogólno-społecznem, jak na odezwę z urzędu, nawołującą do jakiejś sprawy.

Co do treści misterjum Rostworowskiego jest seminaryjnie przeprowadzoną analizą stosunków panujących śród ugrupowań społecznych, którą można w innem laboratorjum przeprowadzić po raz wtóry z tymże skutkiem i tak *da capo al fine*... Nie chodzi tu wyłącznie o miłosierdzie, które w danym wypadku odgrywa tylko rolę symbolicznie traktowanego dobra, lecz główny nacisk autor kładzie na uwydatnieniu bezcelowości zmagań ludzkich. Idea Schopenhauerowskiej „der Wille zum Leben", pogrąża uprzywilejowane dotąd warstwy w otchłań nieistnienia, a wynosi na ich stanowisko te, które w danej chwili okazały się bardziej zdolne do życia. Instynkt woli do życia zagłuszył skomlącą, zaprzysiężoną wiarę oraz rozumowania objektywnego intellektu, żywiołowym odruchem pięści zwierzęcej powalił go do stóp swoich i rozpędem nasytu upojony wspiął się na tron dotychczasowego tyrana... po to tylko, aby na szczeblach, które przed chwilą opuścił, zobaczyć jeszcze raz siebie — w tej samej postaci wiecznie istniejących głodu i nędzy.

Błędne koło nie przestało być błędnem kołem — Rostworowski stwierdził to po raz może tysiączny. Czy boleje nad tem? Czy kpi sobie może z tego? Tak i nie. O stosunku autora do tej wieczystej walki zła z dobrem w misterjum niema ani słowa, boć trudno uważać za ten stosunek ostatnie wiersze prologu: „jeżeli nasze syny, wnuki i prawnuki nie będą grać inaczej prologu tej sztuki".

To też widz, który spokojnie i bez wzruszeń wysłuchał trzech aktów z prologiem ani zauważył, że na siebie patrzył właśnie przed chwilą na scenie i gdyby dziesięć razy z kolei owe misterjum widział, tego nie zauważy, bo rzecz go nie wstrząśnie, nie wzruszy, jak nie wzruszy paskarza przeczytany artykuł o lichwie żywnościowej. I tu dopiero można zrozumieć całą publicystyczność „Miłosierdzia" — kończy je bowiem zdawkowy morał prologu, pisany więcej „od wiersza" niż płynący z istotnych uczuć autora.

Przemówić do wyobraźni, do duszy, a wreszcie i do sumienia może tylko upostaciowana w scenie idea powstała z osobistych cierpień twórcy—nigdy sucha i zimna analiza, dla obrazowości posługująca się prymitywami sztuki scenicznej średniowiecza, w najlepszym razie wyprowadzająca marjonetki aktualności, która, miast zajmować, budzi uśmiech politowania lub odrazy w tym przybytku sztuki przecież, a nie kinematografji życia.

I dziw, że Rostworowski, który napisał „*Judasza z Karjotu*", a więc umiał z historji zmagań ludzkich wydobyć i postać i tło oraz nadać im wyraz istotnego dramatu, uległ w „Miłosierdziu" pokusie publicystycznej.

Prawda, chwila go rozgrzesza, bo chwila obecna jeśli nie druzgocze doszczętnie, to załamuje, wypacza talenty, lub daje jakoby od nich, ale po za ich świadomością twórczą leżące, rzeczy przeciętne, utylitarne *ad hoc* powstałe, a więc z sztuką dla sztuki nie mające nic wspólnego.

Że autor nazwał utwór swój „misterjum", zgrzeszył po raz drugi, bo i sama forma nie trzyma się kanonów o misterjach średniowiecza i treść, której koniec wlewa się „bez reszty" w początek, treść, w której nie został podkreślony umoralniający widza tryumf dobra nad złem, również do rzędu misterjów bez dużych zastrzeżeń zaliczona być nie może.

Nie jest więc „Miłosierdzie" misterjum średniowiecza w istotnem znaczeniu tego słowa, nie może też być nazwane misterjum narodowem, bo niema w sobie kręgosłupa narodowego, nie nosi na sobie cech duszy zdrowej, słonecznej i mocarnej świadomością swego istnienia, lecz zatruwa się z aktu w akt Schopenhauerowskim pesymizmem bezcelowości.

A dalej sprawa dramatyczna, której tylko obszerne tło, przestrzeń i rozmach swobodnego ruchu, działającego lawą tłumu mogły nadać wyraz życia, została wtłoczona w ramy kulis teatralnych.

Reinhard byłby „Miłosierdzie" wystawił tylko na arenie, bo jest ono nawskroś obrazem z placów publicznych, gdzie falowanie tłumu staje się podstawą kolorytu i mocy.

Wielkie wysiłki pracy reżyserskiej i plastycznej inscenizacji nie mogły dać nic więcej ponad to, co dały, choć nie zdołały zrobić tego, co dla uratowania „Miłosierdzia" było niezbędne. Niech danem jednak będzie panom Bolesławskiemu i Drabikowi ująć głodną wyjącą tłuszczę „Miłosierdzia" w ramy odpowiednie, a, sądząc z tego, co zrobili dla niego dziś w Teatrze Polskim, można być pewnym, że stworzą takie dla niego tło, jakiego wymaga: areny rzymskich gmachów igrzyskowych,

bo *panem et circenses* woła gmin w „Miłosierdziu" jak za Cezarów wołał przed oddrzwiami Koloseum.

A wtedy inaczej będą zapewne przemawiać i chóry, nie rażąc krzykiem, lecz przejmując grozą harmonji w dyssonansie ponoszących je żądz, uwydatni się bardziej na tle rozfalowanej tłuszczy i pan Jaracz, który w tej niepospolitej kreacji nieprzepartego niczem instynktu zwierzęcia zrzucił noszoną dotąd stereotypową maskę *hominis sapientis* z polskiego Powiśla. Uwydatni się również bardziej i suchy profesor socjologji, pan Bończa-Stępiński, wspominając sobie czasy krakowskie, kiedy to w „Judaszu" Rostworowskiego dał skończenie naturalistyczną postać faryzeusza, i do dzisiejszego Paracelsa w „Miłosierdziu" dorzuci jeden z tych rysów nieomylnej charakterystyki, jakiemi przykuwać potrafi do siebie na długo uwagę widza. Wtedy na podjum walącej się w gruzy, a tak lakonicznie beztroskiej czerwonej tyranji pana Brylińskiego i panna Broniszówna podkreśli gest nędzy wyrastającej do zawrotnej wyżyny władzy i jednocześnie tak nizinnie umiejącej marzyć o tanich ideałach życia codziennego.

„Miłosierdzie" może stanąć tylko przez wielką scenę i odpowiednich na niej artystów, a stanąwszy tak, może, samo padając ofiarą, rozpocząć i u nas okres doświadczeń nad stworzeniem rodzimego dramatu.

Mieczysław Jarosławski.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.



Ś. p. Wanda Hertlówna.

Koło Polek straciło jedną z najdzielniejszych swych pracownic. Ś. p. Wanda Hertlówna oddała życie przy pełnieniu służby, padła pośród szeregu walczącego o Polskę.

Od pół roku pracując nieprzerwanie przy zakładaniu gospód frontowych, znalazła się podczas odwrotu naszej armji w Dęblinie, pracując nad założeniem gospody. Nadszedł ciężki czas ewakuacji. Wycofały się wszystkie stowarzyszenia niosące pomoc armji. Ś. p. Hertlówna wraz ze swą gospodą pozostała najdłużej na stanowisku, żywiąc rannych szpitala polowego i dodając ducha żołnierzom w krytycznych chwilach. W czasie tej to pracy nad siły, pełnionej w najcięższych warunkach, pada ofiarą nabytej w szpitalu choroby epidemicznej. Krewni wywożą ją do rodzinnego Radomia gdzie po 3-ch tygodniach walki choroba zwycięża zmęczony organizm. Koło Polek straciło w niej dzielną członkinię, która od listopada 1919 r. prowadziła poważną pracę kierowniczą i instruktorską w wydziale gospód K. P. za co otrzymała stopień członkini służbowej.

Cześć pamięci dobrej Polki i dzielnej pracownicy.

Z Zachęty.

Powodzenie „III Wystawy Retrospektywnej" nie słabnie. Na przyszłość najbliższy plan Tow. Zachęty Sztuk pięknych tak się przedstawia: 22 i 23 b.m. wystawa będzie przystępną dla publiczności płatnej i razem zupełnie pezpłatna dla wojskowych wszystkich stopni. Ostatnia niedziela t. j. 24 Października opłatna, zaś 25/X o g. I w poł. odbędzie się uroczyste zamknięcie tej pełnej powodzenia Wystawy wobec zaproszonych cudzoziemców i przedstawicieli naszego społeczeństwa. 28 Października nastąpi otwarcie nowej wystawy bieżącej, bardzo licznie obsyłanej. 28 Grudnia otwarcie wystawy zabytków „Straży Kresowej", podczas której w Styczniu odbędzie się dwutygodniowe „Święto Wawelu". Miesiąc Marzec i Kwiecień przeznaczone są na „Salon Wiosenny", podczas którego zdobyć może nagrodę im. zmarłego Leopolda Horowitza w kwocie 5,000 Mk. artysta, wystawiający po raz pierwszy na „Salonie Warszawskim".

Kalendarzyk wojenny.

28 września. Na południe od Prypeci sytuacja bez zmian. Na północ od Prypeci pomyślne dla nas walki. Wojska nasze zbliżają się do rzeki Szczary. Kawalerja nasza, działająca na tyłach nieprzyjaciela, przedostała się w okolice Lidy. W Suwalszczyźnie litewska artylerja ostrzeliwuje nasze placówki.

29 września. Na północy osiągnęliśmy częściowo linję rzeki Szczary w rejonie Grodna. W kierunku na Pińsk oddziały nasze zajęły Chomsk, Drochiczyn i Janów. Na wschód od Równego po odrzuceniu oddźiałów nieprzyjacielskich wojska nasze zajęły na prawym brzegu Horynia—m. Korzec. Wojska ukraińskie, działające na wschód od Zbrucza zajęły z naszą pomocą Płoskirow i Starokonstantynów.

30. września. Na północy, wojska nasze zajęły Lidę. Na wschód od Wołkowyska zajęliśmy w pościgu za nieprzyjacielem Słonim i przekroczyliśmy rzekę Szczarę. Na Polesiu wojska nasze uderzeniem od południa na Pińsk i Janów rozgromiły kompletnie 4 armję sow. Sztab jej został wzięty w Pińsku do niewoli. Na południe od Prypeci został opanowany przez nasze wojska węzeł kolejowy Sarny. Sytuacja na Wołyniu bez poważniejszych zmian.

1 października. Nieprzyjaciel cofa się w panicznem nieładzie, natrafiając ze wszystkich stron na oskrzydlające uderzenia naszych oddziałów. Jedna z dyw. sow. przeszła w całości na naszą stronę, po zamordowaniu swych komisarzy. Dow. 3 arm. sow. popełnił samobójstwo. Grupa wielkopolska zajęła Baranowicze. Na południe od Prypeci nieprzyjaciel wycofał się na linję rzeki Słucz. Kawalerja nasza zajęła Zwiahel.

2 października. Na północno-wschód od Grodna oddziały nasze dotarły do linji rzeki Uły. Dnia 30 września grupa pułk. Dęba-Biernackiego dochodziła do Nowogródka. Zdobycz 2 armji z okresu walk od 20 do 30 września wzrosła do liczby 25 000 jeńców i 100 dział. Pod Baranowiczami oddziały poznańskie wzięły 100 jeńców i zdobyły 36 karabinów maszynowych. Na południe od Prypeci sytuacja bez ważniejszych zmian. W rojonie Suwałk i Sejn za obopólnem porozumieniem wstrzymanie wszelkiej akcji.

3 października. Nasze oddziały przekroczyły rzekę Serwecz, przytem zajęliśmy Nowogródek. Na południe od Prypeci nasza kawalerja ściga nieprzyjaciela. Ogółem w ostatniej oskrzydlającej ofenzywie naszych wojsk zostało rozbite 16 dywizji sowieckich. Sztaby 3 i 4 armji oraz 21, 55, 57 i 41 dyw. sow. oraz kilkadziesiąt sztabów brygad, pułków i bataljonów dostało się w nasze ręce. Zarejestrowana dotychczas ilość jeńców wynosi 42.000. Dział wzięliśmy 160, karabinów masz. 950, aut pancernych 18, pociągów pancernych 7, aeroplanów nieuszkodzonych 3, parowozów 21, wagonów 2,540, samochodów 10, liczne tabory i obfity materjał wojenny.

4 października. Nasza armja pościgowa północna dociera do Miru.

Na wschód od Baranowicz wojska nasze zajęły Swojatycze i Podlesie. 144 bryg. sow., nie zdoławszy się wycofać, wraz ze swym sztabem dostała się pod Horodyszczami w nasze ręce. Na południe od Prypeci jazda nasza rozbiła 44 dyw. piechoty sowieckiej.

5 października. Czołowe patrole pościgowej grupy północnej, posuwającej się wzdłuż szosy Lida—Nowogródek — Mir, przekroczyły linję Niemna pomiędzy rzeką Sułą a Stołbcami. Poznańskie oddziały dotarły na wschód od Baranowicz do Nieświeża i Klecka. Grupa poleska dotarła do Małkowicz, Bastyna. Łunińca, Łachwy i Dawidgródka. W ten sposób linja kolejowa Lida—Baranowicze — Łuniniec — Sarny — Równe w całości osiągnięta.

6 października. Nieprzyjaciel, narazie nie zdolny do stawiania oporu wycofuje się na wschód. Czołowe oddziały naszej grupy pościgowej docierają do Kojdanowa i Stankowa. W rejonie Miru zdobyliśmy pociąg pancerny, 5 dział, 8 kar. masz., 300 jeńców. Na północnem skrzydle Litwini w silniejszych zgrupowaniach wraz z oddziałami bolszewickiemi rozpoczynają atak na nasz flank. Nasza kontrakcja w toku.

7 października. Na całym froncie sytuacja niezmieniona. Oddziały nasze mają już tylko luźny kontakt z nieprzyjacielem. W myśl wniosku komisji Ligi Narodów Naczelne Dowództwo nakazało wstrzymanie akcji wojennej przeciwko wojskom litewskim.

8 października. Na całym froncie bez ważniejszych zmian. Na wschód od Zwiahla oddziały nasze rozbiły trzy pułki sowieckie, biorąc 700 jeńców i 5 karabinów maszynowych.

9 października. Północna nasza grupa obsadziła Oszmianę i Soły, przecinając w ten sposób linję kolejową Mołodeczno — Wilno. Na pograniczu litewskiem, nie zważając na zawarty rozejm, dnia 7—6 m. Litwini ponownie atakowali nasze placówki.

10 października. Sytuacja na froncie bez żadnych ważniejszych zmian. Gen. Żeligowski zajął Wilno.

11 października. Na całym froncie sytuacja bez ważniejszych zmian.

12 października. Patrole litewskie, nie zważając na rozejm, kilkakrotnie przekraczały linję demarkacyjną. Na południu zauważono w okolicach Żmierynki koncentrację sił belszewickich.

13 października. Na północy dotarliśmy do Nowoświęcian. Zajęliśmy Słuck.

14 października. Oddziały nasze opanowały Mołodeczno. W Korosteniu jazda nasza wzięła poważną zdobycz.

15 października. Oddziały nasze w pościgu za rozbitym pod Mołodecznem nieprzyjacielem zajęły Wilejkę. Na Polesiu obsadziliśmy Lenino i Turów. Na południu zauważono koncentrację sił nieprzyjacielskich.

Od Redakcji.

Redaktor Naczelny „Placówki", p. Walenty Zieliński, wyjechał na parotygodniowy wypoczynek, numer podpisywać będzie przez ten czas w zastępstwie p. Ignacy Grabowski.

Treść zeszytu XVIII-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą i w Ameryce: Kwartalnie **Mk. 150.—**

Za przesyłkę pocztową dolicza się kwartalnie: w kraju **Mk. 15.—**, za granicą i w Ameryce **Mk. 25.—.**

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE PLACÓWKA

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

W zastępstwie Redaktora Naczelnego wydawnictw P. S. W. „Placówka": **I. Grabowski.**

Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Gustaw Olechowski, Stanisław Pieńkowski.**

Odbito czcionkami „Drukarni Rotacyjnej", Marszałkowska 148.